

Eugeniusz —

Paukszta

Strad
cen
cy



**Akcja powieści osnuta jest na ma-
le znanym materiale historycznym
z okresu najazdu szwedzkiego.
Mowa jest w niej zarówno o spra-
wach ważkich, o problemach po-
litycznych owych czasów, rozwią-
zywanych przez głowy koronowa-
ne, jak i o romantycznych przygo-
dach miłosnych, bitwach, najaz-
dach, pojedynkach. Bohaterami
są postacie historyczne, król Jan
Kazimierz, Maria Ludwika, a rów-
nież przedstawiciele magnaterii,
szlachty, mieszczaństwa, chłopów
pańszczyźnianych. O losach „stra-
ceńców”, ludzi, którzy mimo wy-
siłków nie zdołali utrzymać Prus
Księżęcych przy Polsce, dowiadu-
je się czytelnik z kart tej książki.**

— I głowę byś położył. Już nie szwedzki czas, by po kraju swobodnie buszować. Jaki taki ład nastał. A po suplice wnosząc, rzecz jeszcze nie skończona. Rada lepsza, byśmy sami zajęli się sprawą, a nie Horusza.

— On i tak nie sfolguje. Uparty okrutnie.

7

Noc nie stała tak ciemna, jakby to było potrzebne wyprawie Horusza zafrasowany spoglądał na niebo, gdzie przekorne gwiazdy migotały zimnymi blaskami. Chłodno już było, w jesienne wieczory znad bagnisk i rzeki ciągnęła wilgoć wżerająca się pod ubranie, dreszczami spływająca po ciele.

Nadspodziewanie długo trwało drażnienie podkopu od strony zasypanych piwnic holenderskiego portu do podziemnych części friedrichsburskiej budowy. Za dnia żadnym sposobem nie dawało się prowadzić roboty, bo z wału cytadeli nie uszłoby to uwagi żołnierzy; w nocy znowu każdy mocniejszy hałas trwogą przejmował majstra Klibera i jego murarzy, co ich ośmiu przywiódł ze sobą.

Horusza, który przeprowadzał nocny rekonesans terenu, zawracał potem z dziwnym uczuciem w sercu, zostawiając garstkę dziewięciu ludzi na ryzyko, z jakiego na pewno nawet nie zdawali sobie sprawy. Gdyby ich dostrzeżono, przepadliby z kretelem. Od cytadeli do portu Holendrów było nie dalej nad strzał z muszkietu. Okolica bezлюдna, ani się gdzie skryć, ani uciekać..

A jednak dali radę. Skryli się bez trudu w jednym z zawalonych murowanych budynków, podbudowanych sklepieniami piwnicami. Jak krety wgryźli się potem pod ziemię, taczkami wywozili ją do dalszych piwnic, poszerzali korytarz przebijany pomiędzy gruzem, podpierali deskami, aby się nie zawalił. Bali się każdego mocniejszego stuku, nasłuchiwali trwożnie, czy ich nie dosłyszano, kładli się spać na krótko, jedli, znów wracali do pracy.

W dwanaście dni byli gotowi. Ściana, którą majster Kliber zamknął ongiś podziemia cytadeli, gruba była na trzy cegły. Mimo to dochodziły już przez nią czasami jakieś krzyki, wołania, raz huknął strzał muszkietowy, dudniący gromem przeleciał nad głowami podziemnych murarzy. Wstrząsnęli się, paru się przeżegnało, każdy pomyślał to samo.

Potem dwa dni minęły jeszcze na dalszych przygotowaniach. Horusza bowiem chciał jak najbardziej pomniejszyć ryzyko szalonej wyprawy. Nie widział dużych szans powodzenia, a przecie zapalił się do roboty, oddał jej wszystkie swe siły. Może pomagało mu to mniej trapić się rozmyśleniami nad dolą Krystyny, nad pogmatwaniem własnych spraw, może znajdował ulgę w tym ryzykanctwie,

jakiemu równego nie pamiętał nawet z najburzliwszych swych lat.

Stał teraz wpatrzony w rozgwieżdżone niebo, czekając uderzeń zamkowego zegara. O tej samej godzinie dwa oddziały czeladnicze okręzną drogą wyruszyć miały dokoła murów, aby od wschodniej strony znaleźć się niedaleko cytadeli. Oni z tym samym uderzeniem zegara odjechać mieli z nadbrzeża Pregoły towarowymi łodziami.

Od miasta niósł się szum niespokojnej ludności Królewca, swoim zwyczajem zalegającej ulice. Na szarej powierzchni rzeki plusnęła czasem ryba mącąc spokojny, łagodny nurt. Jakimś złym skrzykiem z oddali odezwała się wydra.

Przyodziana w męski strój Barbara przysunęła się do Horuszy.

— Nie lubię czekać. Chciałabym, aby już było po wszystkim. Będę się niepokoić czekając na was przy służbie — szepnęła.

— Już bliski wyjazd... — odrzekł i przyjaźnie popatrzył na mającą przed nim ciemną sylwetkę dziewczyny. Poznał ją lepiej przez czas przygotowań. Dzielnie i mądrze się sprawowała, niełatwo znalazłby się równie energiczny mężczyzna.

Miał ciężką przeprawę, gdy trzeba było wyperswadować jej zamiar bezpośredniego udziału w decydującym ataku pod ziemią. Pomijając to, że była białogłową, przechwycenie jej w razie niepowodzenia mogłoby bardzo narazić jej ojca i przeszkodzić przez to jego wysiłkom dla sprawy pruskiej. Dla tych samych przyczyn i Kurt musiał być tylko pomocnikiem. Wiązała go funkcja rajcy Starego Miasta. Walka z elektorem przybierała na sile. Stany zdecydowały się prowadzić ją na legalnej płaszczyźnie, drogą ustaw i pertraktacji. Dopóki ta decyzja nie uległa zmianie, wszyscy urzędnicy lojalnie przestrzegać musieli swych godności.

Zadanie spoczęło na czeladnikach kuśnierskich i rzeźnickich Knipawy. Najpewniejszych i najbardziej odważnych przeznaczonych do akcji w podziemiach. Pozostali mieli się zająć sprowokowaniem awantury od wschodniej strony cytadeli, aby tam ściągnąć uwagę elektorskiego żołnierstwa.

Horusza obejrzał się za siebie. Dwudziestu ich było. Dochodzili jeszcze ojciec i syn Janikowie. Tak go molestowali, że musiał wziąć ich ze sobą. Na samym przedzie grupy, ściskając w dłoniach gruby, żelazny drąg, górował wzrostem nad innymi rzeźnik Milling, starszy czeladniczej konfraterni. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę i coraz to spoglądał na mającą w dali wieżę zamkową, jakby pragnął przyspieszyć wolno mijające minuty. Obok niego nerwowo dygotał czarny jak Cygan Blick, kuśnierski czeladnik, najdowcipniejsza głowa wśród cechowych Knipawy. Za nim tłoczyli się pozostali, skupieni, napięci oczekiwaniem.

— Olaboga, ojciec, nie strzymam, wyrwę i sam polecę do przodu — nachylił się Jędrzyk ku ojcu.

W tej samej chwili zegar zamkowy wydzwonił cztery kwadranse. Jedna chwila i znaleźli się w barkach.

Łodzie bez plusku posuwały się szybko, mijały domki nadbrzeżne, pogrążone w cieniu, wąskimi uliczkami dźwigające się w górę.

Milczeli wszyscy.

Czarną ścianą zamajaczyła śluza, od której na obie strony rozchodziły się mury miasta. Z prawa górowała nad nimi jedna z szesnastu wież strażniczych. Pozostawała ona pod pieczęcią cechu kuśnierzy. Już zawczasu postarano się, aby zgromadzić na nocnej warcie wieżowej tylko najpewniejszych.

Wartownicy oczekiwali na nich podnieceni, przejęci nie mniej od bezpośrednich uczestników wyprawy. W razie potrzeby mieli ułatwić ucieczkę.

Śluza uchyliła się, aby przepuścić łodzie. Duże były, ale zgrabne, pruły nurt dobrze i cicho. Trzymali się prawego brzegu, gdzie od nadrzecznych drzew kładły się większe cienie. Zwolnili bez szelestu, z zapartym niemal oddechem posuwali się pod niewyraźnie majaczące, bliskie już mury cytadeli.

Nie wjeżdżali na sam teren byłego portu Holendrów. Przystanęli u skraju starych budynków. W głęboką wodę wrzynał się pomost z grubo smolonych bierwion.

Schyleni, wypełzali na brzeg. Po czterech pozostało przy każdej łodzi, wliczając w to Barbarę i Kurta. Teraz trzeba było się czołgać, najciszej i najostrożniej, aby żaden ruch czy szmer, cień nawet nie zdradził zapaleńców. Pistolety, łomy, ostre noże i skrócone rapiery — ulubioną broń królewieckiego pospólstwa — poowijali w szmaty albo głęboko skryli w odzieniu, aby przy zetknięciu z kamieniami nie zdradziły ich dźwiękiem.

Czołgali się powoli, coraz przystając dla nabrania oddechu. Przeleciał nad nimi podmuch zrywającego się wiatru.

Horusza czołgał się obok majstra Klibera. Jego ludzie byli na miejscu już od ubiegłej nocy. Ostrożnie drążąc przygotowali mieli otwory w spojeniach cegieł, które przyśpieszyłyby potem zburzenie ściany przez podważanie muru żelaznymi łomami.

Z ulgą przywitał Kliber majaczący ciemniejszą plamą właz do piwnic byłego portu. Cicho, ostrożnie zsuwali się w dół. Tam rozprostowali ramiona, pocierali łokcie i kolana, zbolale od długiego czołgania.

Powietrze było duszne, nasiąkłe zastalą wilgocią. Z piskiem tłukły się liczne nietoperze. Gdzieś nie opodał zamiauczał kot.

Majster murarski odpowiedział podwójnym miauknięciem. Z mroku wyłoniła się ciemna sylwetka.

— Gotowe? — głos majstra wyraźnie drżał.

— *Ja, alles fertig.** Czekaemy na was.

* *Ja, alles fertig* (niem.) — Tak, wszystko gotowe.

Horusza zostawił kilku ludzi na brzegu wylazu. Zadaniem ich było zważać na to, co się dzieje na zewnątrz. Oni też błyskiem światła mieli dać sygnał w chwili, gdy grupa od wschodniej strony cytadeli rozpocznie prowokację. Dalsi stali u wlotu z takim trudem przepokopanego poprzez gruzy przełazu pod lochy cytadeli. Mieli z kolei przekazać sygnał tym, którzy znajdowali się na miejscu bezpośredniego działania.

Rotmistrz uczuł w tej chwili, że drży na całym ciele. Przecie nie z chłodu ani z lęku. Znał siebie; skoro już raz zdecydował się na coś, znikwały wszelkie wahania. Zostawało tylko pragnienie zwycięstwa i nieugięty upór Litwina. A teraz drżał. Dlaczego? Czyżby zdawał sobie sprawę z szaleństwa całej wyprawy? Czy może przygniatał go ogrom odpowiedzialności za ludzi, którzy z taką ufnością powierzyli się jego przewodnictwu? Nie wiedział. Zdjął nakrycie z głowy, przeżegnał się.

Posuwali się wolno, zachowując najdalej idącą ciszę. Na głowy sypał się im gruz, spadały czasem całe kawałki starej cegły. Potykali się na bardziej nierównych odcinkach. Kilka świec chyboczącymi językami ognia rzucało długie cienie na ten korowód.

Miauknięcie kota, odpowiedź. W mroku zajaśniały światelka laterek. Korytarz kończył się, byli na miejscu.

Podniosły się na spotkanie postaci murarzy, kompanów majstra Klibera. Nie mogli się wszyscy pomieścić, rozciągnęli się więc przez długość korytarza, tak wąskiego, że ledwie dwie osoby mogły w nim stanąć obok siebie.

Liczne dziury wyborowane były w ścianie dzielącej ich od więźniów. Obok leżały drągi żelazne, łopaty, stały jakieś wiadra.

Z każdą chwilą robiło się coraz duszniej. Wąski korytarz zatłoczony był ludźmi. Oddechy stawały się mocniejsze, pot gęstymi kroplami występował na czołach. Niektórzy dopiero teraz odczuli straszny, ściskający za gardło lęk.

Wyczekiwanie zdawało się nie mieć końca. Nasłuchiwali z napięciem. Nic, cisza, tylko oddechy stojących obok stawały się coraz bardziej gorące, tylko w głowach zaczynał krążyć ostry, szarpiący ból.

— Idźmy, nie czekajmy na tamtych! — szepnął ktoś żarliwie, nagląco.

Horusza zawahał się. I oto wtedy, gdy ludzie zdawali się być już u kresu wytrzymałości, gdy pragnęli albo uderzyć do przodu na nieławistną ścianę, albo porzucić wszystko i wycofać się, gdy zaduch zdawał się niemal zabijać — w tej chwili z przeciwnej strony korytarza zabłysło migające światelko. Odetchnęli z ulgą. Murarze poderwali się z miejsc, twardymi dłońmi chwycili za łomy.

— Naprzód! — półgłęboko rzucił Horusza.

W dziury, wydrażone nakładem olbrzymiej pracy, wsunęły się

żelazne drągi. Ludzie przy nich drgnęli, wsparli się w ziemię. Posypał się kurz, osunęła się na ziemię jedna cegła, potem druga, z narastającym łoskotem zadrgała ściana, przechyliła się z jednej strony. Szarpnęli jeszcze raz, odskakując od cegieł walących się na ziemię. Zabłysło słabo oświetlone wnętrze długiego, przestrzennego korytarza o wysokim stropie. Pustka, tylko szereg licznych drzwi po obu stronach.

Jeszcze murarze gorączkowo rozszerzali wejście, gdy na sygnał Horuszy grupa dziesięciu ludzi przedzierała się do wnętrza cytadeli.

Któreś drzwi zatrzeszczały, rozległ się głos natrętnie domagający się wody.

Biegli, naciskali klamki, wołali przyciszonym głosem do każdej celi:

— *Freiheit! Freiheit!* *

Więźniowie wyglądali strwożeni, niektórzy cofali się w zdumieniu, nie wiedząc, czy to nowa zasadzka, czy też naprawdę stał się cud. Niektórzy poznali przybyłych, wszyscy desperacko wybiegli ze swych cel. Kierowani w odwrotną stronę, popychani nieomal, przełazili przez poszerzony już złaz, zasnuty wznoszącym się pyłem. Dwa długie szeregi naprzeciw siebie leżących cel stały już otworem. W trzech z nich brzękały łańcuchy.

— Tamtych oswobodzić, tamtych — wołał półgłosem Horusza, sam biegł za paru innymi do wylotu korytarza. Skręcał on tutaj w prawą stronę, długi, już bez drzwi bocznych.

— *Was is los?* ** — zabrzmiał nagle od tamtej strony burkliwy głos, zadudniły kroki. Gdzieś z daleka, ponad głowami, rozległy się detonacje, jakby trwała tam strzelanina. Horusza i najbliżsi skupili całą uwagę na krokach dudniących już prawie tuż-tuż. Ukazał się żołnierz elektorski z pistoletem w dłoni, dojrzał jakieś cienie, wypalił w ich stronę. Odpowiedzieli tym samym, echa poniosły się głucho, przeciągle, wzmógł się gwałt, krzyki, tupot licznych nóg, kurz podniósł się taki, że ledwie można było coś dojrzeć. Horusza cofał się ze swymi, zobaczył, jak dwóch z jego ludzi ciągnie kogoś skutego w kajdany, razem z nowym wystrzałem uczył ból w lewej dłoni, ledwie miał czas pomyśleć, że dosięgła go kula. Strzał nad uchem, oddany przez kogoś ze swoich, niemalże go ogłuszył.

Gromadą następowali na nich elektorscy strażnicy, po całym podziemiu niosły się krzyki, narastały echem, jakby jakiejś potężnej eksplozji.

Horusza dostrzegł, że ktoś przed nim szamocze się z Brandemburczykami, krzyknął, skoczył na pomoc, wyciągnął szablę. Poznał: to dzielny Kliber, a przy nim ktoś drugi, pistoletem i nożem stawiają opór. Atakujący bali się strzelać, by nie ranić swoich w kłębo-

* *Freiheit!* (niem.) — Wolność!

** *Was is los?* (niem.) — Co się dzieje?

wisku wirującym na ciasnej przestrzeni. Horusza sztykiem na wprost ciał jakiegoś żołnierza, drugiemu wybił rapier z dłoni, ledwie się uchylił przed zamachem ostrej klingi, skoczył do przodu, bo w pobliżu zabrakło już wroga. Szedł z tą pasją, o której jeszcze na Litwie opowiadano cuda, zgrabny teraz, szybki i zwinny. Kliber nadażał krok w krok, jakiś nieznany osobnik z drągiem w dłoni nie ustępował im w zajądłości.

Żołnierze zawrócili w panicznej ucieczce. Za mało ich było, zbyt wystraszyli się tym nagłym, jak przypuszczali, buntem, zdumieni byli faktem, skąd w podziemiach znalazła się broń. Horusza pojął to ich wahanie, natarł silniej, ciał któregoś przez plecy, jednocześnie rzucając rozkaz Kliberowi:

— Do tyłu, do tyłu, co sił w nogach!

Nieznany osobnik zachwiał się. Kliber uchwycił go pod ramię, Horusza poskoczył z pomocą od drugiej strony. Biegli, obijali się o ściany, dotarli do przejścia w murze. Z najwyższym niepokojem czekało tam kilku ludzi.

— Prędszej, prędszej! — wołali.

Przesunęli się przez otwór. Murarze szybko tarasowali przejście bryłami złączonych z sobą cegieł, aby utrudnić pościg, który z tyłu za nimi dzikim wrzaskiem narastał już w korytarzach.

Schyleni, rozbijając głowy o sterczące w przejściu ostre kamienie, potykając się na nierównym gruncie, pędzili naprzód ku łyskającemu świątełku.

— Prędszej, prędszej! — zawołał nagle Kliber i popchnął biegnącego przed nim Horuszę. Sam przystanął w szerszym nieco punkcie, przepuścił trzech ostatnich murarzy.

Wtedy, skurczony we dwoje, przebiegł jeszcze parę kroków, złękniiony, przejęty nową grozą, która zawisła nad nimi. Poza niktymi w dali krzykami wprawnym uchem dosłyszał trzask, osypywanie się ziemi korytarza.

Aby jeszcze tych parę kroków, aby... — pomyślał. Sadził teraz susami, ale siły go opuszczały. Nadludzkim wysiłkiem zmusił się jeszcze do paru kroków, wypadł na szerszą przestrzeń. W tej samej chwili z hukiem zawałiło się za nim wąskie przejście, odłamki kamieni i cegieł przysypały mu nogi. Szarpnął się, pomogły jakieś ręce, biegli teraz do wyjścia, dawnymi piwnicami składów holenderskich. Jeszcze kilku tłoczyło się przy włączu, wygrzebywało na wierzch.

Zabłyły nad nimi zimne, jesienne gwiazdy. Byli na dworze. Rześkie, nocne powietrze spłynęło na nich jak łaska.

Od cytadeli wciąż było słyhać strzały, krzyki, nawoływania, komendy. Ale nie od strony Pregoly. Tu panowała cisza, nikt nie wołał, nie strzelał z pobliskiego muru, mimo że biegli teraz do łodzi wyprostowani, aby szybciej. Dudniły kroki, dygotały serca.

Dwie łodzie były już na rzece, wraz z prądem parły co siły ku

zbawczej służbie. Czujny Horusza stał z pistoletem w prawej dłoni, wyślepiał oczy w ciemnię nocy.

— Wszyscy? — głos rotmistrza wibrował wzruszeniem.

— Ja byłem ostatni — odpowiedział poważny głos.

W tejże chwili wiosła silnie uderzyły o wodę. Jednocześnie poniósł się strzał, jeden, drugi, trzeci, cała kanonada, zazgrzytały jakieś wierzeje.

— Mocniej, mocniej! — Horusza podniósł się z miejsca, wołał na wioślarzy, patrzył na brzeg, który zostawiali za sobą.

Kule pluskały w wodę coraz dalej i dalej za nimi. Światła na murze cytadeli szybko przesuwały się z miejsca na miejsce. Gwałt wzrastał, palba szła coraz ostrzejsza.

— Mocniej, mocniej! — krzyczał Horusza. Dostrzegł ciemne postacie co sił biegnące ku rzece po spadzie nadbrzeża.

— Mocniej, mocniej! — drgnął, poznał bowiem, co znaczą nagłe iskrzenia na murach.

Huk wstrząsnął ciemnym niebem nad nimi. Brandenburczycy walili z kartaunów. Gdzieś na prawo rozległ się plusk, strzeliła do góry fontanna wody, przez sekundę stała słupem w powietrzu.

— Mocniej, mocniej!

Nowy strzał.

— Mocniej, mocniej! — ochrypł od tego wołania, ale widocznie pomagało ono wioślarzom, bo ciężka łódź mknęła po wodzie. Poprzednie wyprzedziły ją znacznie.

Tamci w każdym razie umkną — pomyślał.

Cienie na brzegu pędziły szybko, było ich coraz więcej. Aby zdążyć, aby zdążyć! Nowy huk: pocisk wybuchł daleko za nimi.

— Nie donosi — szepnął rozradowany Horusza.

Łódź z rozpędem wjechała prosto w rozwarte szeroko wrota służy. Zaskrzypiały kołowroty, straż miejska przywitała przybyłych głośnym okrzykiem tryumfu.

Przytomny, ale ledwie żywy z wrażenia, osunął się Horusza na dno łodzi. Nie wiedział, jak długo tam leżał. Gdzieś jeszcze rozbrzmiewały strzały, ale powoli przycichły i one. Ktoś pochylił się nad nim. Poznał Binnera.

A potem, potem nagle jakaś postać przesłoniła sobą starego drukarza, dłońmi objęła Horuszę za głowę. Barbara Roth zajrzała mu w oczy głęboko, a później ucałowała zdumionego rotmistrza prosto w usta.

— Jeżeli Kurt sprawił się równie dzielnie, to nie czekając już, wyjdę za niego — usłyszał głos dziewczyny.

Więc ten pocałunek to tylko wdzięczność — pomyślał z niejakim zawodem Horusza.

Ale zaraz uśmiechnął się szeroko, przyszło mu bowiem na myśl, jaka rada byłaby z niego Krystyna. Jej pocałunek na pewno nie wpływałby tylko z wdzięczności.

8

Dni Królewca upływały we wzrastającym podnieceniu. Zuchwałe odbicie więźniów z lochów cytadeli wywołało wśród mieszczan niebywały entuzjazm. W nieskończoność szły opowieści, coraz to żywiej ubarwiane, jak się odbyły przygotowania, kto prowadził, jak źle zabezpieczony korytarz o mało nie zasypał dzielnych awanturników wraz z uratowanymi więźniami. Trzech z nich wyniesiono skutych, z łańcuchami na rękach i nogach. Tłumy przez całą dobę przewalały się po ulicach, wypełniały biersztuby rajcując nad coraz to cieńszym piwem. Sława Rotha wzrosła jeszcze bardziej, gdy do uszu gawiedzi doszła wieść o udziale Barbary w ryzykownej eskapadzie.

Nawet wstrzemięźliwi rajcy miejscy dali się ponieść ogólnemu zapałowi. Padały głosy o konieczności podjęcia stanowczych kroków wobec elektora, zażądania niezwłocznej zmiany kursu politycznego.

Radziwiłł i Dobrzeński, nie na żarty teraz strwożeni, siedzieli eicho, zamknięci w murach elektorskiego zamczyska. Nawet wieczorami w kilku jedynie oknach paliły się światła. Pułkownik Hill, dowódca cytadeli, uśmierzył trochę swoją wściekłość wymierzając srogie kary strażnikom i żołnierzom. Nawet szpiedzy przycichli, nie buszowali jak przedtem po mieście.

Na ratuszu, w radach miejskich, w ławach sądowych, w salach cechowych i konfraterniach czeladniczych nieustannie odbywały się zebrania, buńczuczne, jak fala powodzi narastające w gniewie na Fryderyka Wilhelma.

Elektor nie przybywał, nie mogąc pozbyć się kłopotów w Kliwii, Schwerin usiłował dojść do ładu z żądaniami marchijczyków, także rozzuchwalonych wojną. To jeszcze bardziej podsycalo butność mieszczan królewieckich. Szlachta solidaryzowała się z postawą Królewca. Posłowie krajowi, wbrew zakazowi elektora, odbywali sejmiki ustalając treść żądań, jakie zamierzali przedłożyć nie uznanemu suwerenowi.

Tylko pozostali regenci, za przykładem Wallenrodta, zgodzili się złożyć przysięgę elektorowi. Gdy wieść o tym rozeszła się po kraju, szlachta potraktowała ich wręcz jako zdrajców interesów stanowych.

Z Polski przedostawały się jakieś wieści podburzające do dalszego oporu, nieciły nadzieje, ukazywały znów jasną przyszłość. Rozeszły się pogłoski, że więcej niż tydzień gościli w Królewcu tajni wysłańcy królowej.